

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

COLE

Mój żyjący na planecie zwanej Nowym Jorkiem ojciec – doktor nauk medycznych George St. Clair, członek Mensy – był zwolennikiem metody naukowej, przykładem dobrego, choć szalonego naukowca. Obchodziło go „dlaczego”. Obchodziło go „jak”. Nawet jeśli nie obchodziły go wyniki, interesowało go, jak można ustalić formułę umożliwiającą powtarzanie danego eksperymentu.

Mnie obchodziły rezultaty.

Zależało mi również na tym, żebym pod żadnym względem nie przypominał ojca. Właściwie to większość moich życiowych decyzji opierała się na filozofii bycia innym niż doktor St. Clair.

Więc było to dla mnie bolesne doświadczenie, że musiałem się z nim zgodzić w tak ważnej kwestii – nawet jeśli miał się nigdy o tym nie dowiedzieć. Ale kiedy otworzyłem oczy, czując, jakby ktoś rozbił tłuczkiem moje wnętrzności na płasko, najpierw wymacałem dziennik leżący na stoliku nocnym obok łóżka.

Wcześniej obudziłem się na podłodze w salonie. Okazało się, że żyję – to była niespodzianka. Doczołgałem się do swojej sypialni, żeby zasnąć wygodniej albo dokończyć proces umierania. Teraz czułem się tak, jakby moje członki zostały zebrane do kupy przez fabrykę z kiepską kontrolą jakości. Mrużąc oczy w szarym świetle, które mogło oznaczać każdą porę dnia lub nocy, otworzyłem dziennik palcami sprawiającymi wrażenie nieożywionych przedmiotów. Musiałem przerzucić ileś stron zapisków Becka, żeby dotrzeć do swoich. Następnie zanotowałem i skopiowałem format, którego używałem już przy poprzednich eksperymentach. Moje pismo na sąsiedniej stronie było odrobinę bardziej sztywne niż litery, które nabazgrałem teraz:

epinefryna/ pseudoefedryna – mieszanka 4

metoda: zastrzyk dożylny

rezultat: eksperyment zakończony powodzeniem

(efekty uboczne: atak padaczki)

Zamknąłem dziennik i położyłem go na piersi. Otworzyłem szampana, żeby uczcić swoje odkrycie, gdybym tylko był w stanie zachować przytomność. I gdyby postęp tak bardzo nie przypominał choroby.

Znowu zamknąłem oczy.